Nro 23.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 2 listopada 1844. Rok piąty.

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 19 października 1844.

Stroje damskie. Na ostatniej wystawie wyrobów mody tyle było nowych materij, tyle przystrojeń wytwornych, tak co do strojów bogatych, jak i do skromnych, że zewsząd ozwał się głos żalu prawie. Nie jedna bowiem pani oglądając te merynosowe materie cudnych odcieni, wełniane muszliny drukowane w rysunki pełne wdzięku, jedwabne materie mieniące się tęczowemi barwami, zdawała się mówić: »Wszystko to wspaniałe! ale na cóż nam dziś to wszystko razem pokazywać, co będziem musiały nosić przez całą poźną jesień.« Co by nie było, widzieliśmy wiele nowości, tak w materiach, jak i w gotowych już strojach odznaczonych oryginalnością rysunków, które choć zachowały szerokie kraty, ale się ubrały najrozmaiciej w wschodnie arabeski, i gotyckie zygzaki. Postrzegliśmy między innemi rańtuchy stosowne do pory teraźniejszej; obszerne w szkockie kraty z miękkiej wełny o długim strzyżonym włosie; są one piękne i ciepłe razem, a wielce przydatne do przejażdżek dalszych. Do miasta zaś są płaszczyki Artemizy, i mantylki Faraonowe, których krój przypomina nam dawne stroje Tebów i Egiptu. Dodać do nich należy futerka noszące miano Odety Karola VI.

Między nowszemi wynalazkami pierwsze teraz zajmują miejsce kapelusze na sprężynach p. Marii Seguin. Każdy pojmie łatwo korzyść niepospolitą tego wynalazku ochraniającego, tak w drodze jak w domu, kapelusze od szkodliwego prochu; jakoż już dzisiaj kapelusze takie są na wszystkich głowach, a ich chwała we wszystkich uściech. Nie możemy tu opuścić innego jeszcze stroju na głowy zwanego egipskim; jest to utwor fantastyczny pełen wdzięku, a składa się z jedwabnej siatki niebieskiej i śrebrnej spadającej uroczo na bok długą fręzlą śrebrną spływając aż na szyję. Albo turban algierski z wschodnią różą; regentka strojna w kamelie, i Aragonka złożona z wstążek, obszyta taśmą złotą i ubrana w kwiaty. Jednem słowem rozmaitość strojów głowy jest równie zadziwiająca jak bogata.

Pomiędzy strojami do wizyt uderzyła nas suknia atłasowa z stanikiem Marii-Teresy w rodzaju amazonek; jest on obszyty suto sznurami, wzniesiony aż do szyi, a otwarty w dole nakształt kamizelki męskiej; rękawy Amadysa, wpółotwarte, śpiczaste, trzema pasami axamitnemi obszyte; spodnica zaś strojna w czternaście najmniej pasów axamitnych. Nie mniej ładna jest suknia jedwabna barwy popielatej mieniącej się w niebieską, której spodnica ubrana w ruloniki małe ułożone w półxiężyce wchodzące jeden w drugi, zakończone różami z podobnej materii; stanik gładki zachodzący szeroko na ramiona, wycięty na kształt przedłużonego serca z podwójnym rulonikiem idącym od pasa, zaokrąglonym na boku, i kończącym się różą podobną do tych na spodnicy, i do tych, które raz koło razu okrywają rękawy gładkie przedłużone i otwarte.

Stroje męskie. Barwy sukna na surduty i fraki mało bardzo zmieniają się; są one zawsze ciemne a najwytworniejszą jest barwa czarna. Do paletotów tylko używają barw rozmaitszych; między temi ulubiona jest barwa żelazno-popielata, napoły czarna, napoły popielata, dająca różne odcienia ciemne. Taka barwa paletotu doskonale odpowiada danym na nich taśmom jedwabnym lub axamitnym, i podszewkom pikowanym. I do spodni dają szerokie taśmy jedwabne, które się dobrze wydają, a prócz tego zakrywają boczny szew. Na kamizelki używają

axamitu tureckiego; jestto axamit o długim i gęstym włosie, w szerokie kraty siatkowane.

Rycina przedstawia: suknię jedwabną po której zarzutka ze szalu upięta, kapelusz axamitny gałązką ubrany. Drugi szlafroczek jedwabny axamitkami naszyty, stanik wysoki, w szpicu otwarty, kapelusz piórem ubrany. Trzecia suknia axamitna korunkami ubrana; z figur męskich jest paletot i frak do przechadzki.

Przestroga.

O nie wierz pięknościom! to zwodne syreny,
Ułudzą, zczarują, wyszydzą,
Świat marzeń im życiem, świat uczuć bez ceny,
Choć z sercem, lecz serca się wstydzą....

Ich uczuć, ich przysiąg, wiekami, przyszłością
Jest chwila; za chwili granicą,
To samo, co oto promieni miłością,
Szyderstwem urągnie ci lico!

Młodzieńcze! co pełen nadziei i wiary
Uległeś urokom wdziękini,
Pocofnij, nim lube spijając nektary,
Trucizna ci na dnie zasini.

Bo ona gdzie zechce, gdzie okiem swem rzuci,
Zaplącze, wyplącze się z sideł,
Zapłacze, uśmiechnie, przypomni, porzuci,
I westchnie do świeższych kadzideł.

A twoje uczucia gdy wrosną do duszy,
To staną się duszą-upiorem;
O nie wierz pięknościom! bo w falach katuszy,
Ach! miłość jest piekieł potworem!

A, Kłobukowski.

HERBATA.

Poczęły się stołki przysuwać do okrągłego stolika, na którym zwyczajem dzisiejszym herbatę brać miano: w mnóstwie zastawy sernej, wędlinnej, melonowej, konfiturowej nawet, ginęła owa chińszczyzna, której imieniem chrzci się ta uczta podwieczorkowa, jak w teraźniejszych utworach moralnych, myśl i rzecz główna, ginie w epizodach; lecz jak zwykle te epizody herbaciane, smaczniejszemi się wydały wszystkim wieczorkującym niż rzecz sama. Nie jestże to charakterystyką naszej epoki pomyślałem sobie: ubior przed ciałem, przybór przed treścią, ciało przed duszą, słowa przed myślą, powierzchowność przed wartością, moda przed starym poczciwym zwyczajem? Ale mimo tej filozoficznej uwagi, jadłem wraz z innymi westfalską szynkę z białym chlebem nieskąpym w masło; wyciągałem się kilkakroć z krzesła za szwajcarskim serem, a czasem tylko polewałem z niechcenia to wszystko chińsko zmleczonym napojem, ale przez zęby. I ktoś z naturalistów dowodził że my nie małpy. Protestuję przeciw temu, co do siebie tylko, ma się rozumieć, bo wszyscy zresztą ludzie są wyjątkiem a osobliwie płeć piękna; o tem niema nawet co i mówić.

Ale gdy tak jem i piję, wypadałoby mi, kochane czytelniczki naprzód uprzedzić z kim i gdzie, i dać poznać grono sąsiadów moich i sąsiadek stoliczkowych; a nawet pierwej o nich niż o westfalskich szynkach i serach zamorskich wspomnieć, bo nawet niegrzecznie w takie *imbroglio* się zaplątać, jak ów szlachcic, co to straciwszy z ukontentowania przytomność, za przybyciem do siebie gościa ze Lwowa, gdy pani domu, świętym obyczajem nie ubierania się czysto, tylko kiedy gość, dopiero szła do sali, właśnie gdy lokaj herbatę wnosił, jegomość za podsłuchaniem stąpań poruszywszy wstaniem swojem z krzesła i przybyłego, zawołał w głos:

»Prezentuję panu mojemu.....«

Tu wniósł lokaj świecącą tacę i imbryk z herbatą. Jegomość nietracąc miny zawołał:

»Najprzód herbatę, a potem ...«

Tu na nieszczęście, szedł kozaczek i niósł na talerzu cukierniczkę bo się niezmieściła na tacy dla tego, że była śrebrna....

»Cukierniczkę.... zawołał zmieszany gospodarz sam niewiedząc co mówił; i tu przecie weszła jejmość świeżo umyta.

»I żonę moją« dodał z tryumfem poczciwiec, doczekawszy się ras przecie końca właściwego przedstawień. Szczęściem dla gościa że nie niesiono przed jejmością jeszcze jakiego pieska, lub dodatniego przyboru do herbaty, bo i tak gość miejski wybił dwa pokłony herbacie i cukierniczce, jako dwom połowicom jegomości.

Owoż naprawiając anegdotą niegrzeczność moję, i ja wam prezentuje dopiero po szynce i serze i bułkach, moje kółko stoliczkowe, a to z tej przyczyny, że jak w nim zasiędę, to już nie wyjdę z niego, póki nieskończę tej pogadanki.

Tą razą, gdym się dobrze opatrzył, byłem sam jeden w kole dam, młodych, półmłodych, i..... i poważnych. Naturalnie żadnej starej niebyło, to także jest wyjątek z historii naturalnej, służącej samej płci pięknej. Za to u mężczyzn są i młodo-starcy, szczególność socialna, tegowieczna.

Skrzętność z jaką mnie gospodyni wciągnęła tą razą w grono siedzącej, nie stojącej herbaty, skwapliwość z początku miła dla mnie a potem trwożna, gdym się ujrzał zamkniętym nagle w barykadę gazowych i tiulowych spodniczek sam jeden, wreszcie opuszczenie mnie przez innych towarzyszów płci mojej, co w głośnej rozmowie wyszli do drugiego pokoju dmuchać w fajeczkę, coś mi rokowało nadzwyczajnego, gorącego, jak to mówią.

Łyskawica ócz damskich, błękitnych, czarnych, siwych i piwnych, biła we mnie całym blaskiem nieba na pogodę, ale ćmiła wzrok potulny, nienawykły tych godów. Piękny wieniec róż edeńskich, białych, różowych, ciemnych, co się splótł, wokoł mnie, kolebał uczuciem mojem jak małem dzieckiem piastunka, ale też miałem i bojaźń dziecka małego. Oko w oko stanąłem wyborowi piękności, i już chciałem je liczyć, czy czasem nie dorachuję się dziewięciu gracij starego Olimpu; ale w poecie, wiało uczucie człowieka, i po firankach w oknie, poznałem żem od świątyni daleko.

— Miła rzecz, pomyślałem sobie, jak te panie, skończywszy zatrudnienie białych ząbków, wezmą się do swej ulubionej rozmowy o wstążkach i kapeluszach, i na mnie, jako deputata płci męskiej w ich gronie zasiadającego, odwoływać się poczną. Ja co mam zawsze takie uszanowanie dla dam, że nigdy czarnym pięknym oczom nie mogę prawdy nieprzyznać, a znów słodkim błękitnym nigdy nieprawdy niezadam: a zaś dla piwnych to mam słabość Mazura, a za siwe to bym się i rąbał; wystawić sobie tylko że się zawiąże sprzeczka, i nuż które z tych ocząt zapyta, zarzuci, przeciw komu? przeciw drugim takim pięknym oczętom. O! to trzeba chyba sobie w łeb strzelić, a tu pod ręką nie ma pistoletów tylko nieszczęsna szynka i jakiś biszkokt w kształcie maczugi.

— Ha! od czego dowcip, ktoś powie. O! o! z niewiastami i to ładnemi dowcip trudny, trzeba na to Tailleranda; a ja ani kulawy, ani dowcipny, ja sobie naturalniej i logiczniej pomyślałem: »ha od czego biszkokt« i szparką wiedziony myślą porwałem za sprzymierzeńca tak sobie rozumując »jak nadejdzie przewidywana kryzys, i już kuso ze mną będzie, zapcham sobie usta biszkoktem, potem niby się zakrztuszę, potem chustkę dobędę, potem ruszę stołkiem...i... oho! żeby dali i marcepany to nie dam się drugi raz złowić w owę tęczę bogiń, w którą tak miło patrzeć zdala. Ta myśl i obrona wystawiały mnie wprawdzie na pewność, dostania najgrzeczniej w kark, jako pomoc naturalna temu kto się udławi, ale což robić; każda obrona ma swoję nieprzyjemność dla bronionego, a lepiej to jak tamto, przynajmniej ja wolę.

Więc uzbrojony na wszelką przygodę, lżej oddycham, raźniej spozieram po tej galerii główek tak lśniących, tak czystych, tak dziwnie jasnych, jakby im kto dopiero poodejmował korony światła, i z rafałowskich strącił obrazów, a jeszcze przyblask niezgasł u ich włosów.

Ale, jak zwykle, zawiodły mię strachy: burza co ma uderzyć, tai się za górą, napada nagle, grzmi, łyska, i tyś zwalczony, zgubiony. A chmura co ciągnie a ty ją widzisz drzysz i prorokujesz, rozpuści deszcz mały i obsypie cię wonią i okwitością. Pierwsze oczy czarne zwróciły się do mnie, drzałem, potniałem i maczuga biszkoktowa była tuż przy ustach moich. Głos miły, słodki zapytał pieściwie »więc i pan należysz do grona literatów naszych? Cały sznur pięknych ócz przesunął się po licach moich, rzekłbyś że byłem rożańcem po którym nabożny Turczyn przewleka szafiry, koral i bursztyny.

»Inna twarz rzeczy« pomyślałem sobie »stałem się dla tych pań, ciekawym egipskim barankiem, miano literata rozbudziło ich chętkę wpatrzeć bliżej w to stworzenie, by powiedzieć, czy to źwierz, czy to człowiek«. Mniej już bojaźliwy, lecz zawsze niechętny, tylkoco gotowałem zimne i kwaśne, »tak jest« gdy błękitne dodały oczy.

— Och! jakto lubo musi być pisać, kiedy tak miło się czyta utwor cudzy«.

Tu już zesłodziłem w umyśle moim kwaśne »tak jest« na cukrową odpowiedź, ale którą tak zamierzałem odrzucić daleko wprost od mojej literackiej osobistości, by jak wolanta nie podjęły tych pytań więcej moje piękności. Aż na biedę owe piwne oczęta, od których my Mazury, co się ślepo rodzim, przejrzywamy w świat inaczej, owe piwne, matki mej, siestrzyc mych oczęta, dobiły mnie swojem ciekawem.

»Jakito świat być musi rajski, uroczy, tych innych ludzi, co tylko z sobą żyją myślami, spółkują uczuciem, krewnią się pomysłem??...

— »Co tylko« dodały siwe ze łzą przyćmioną »co tylko piersią pracują dla piękności, dla ideału, dla bóstwa, i niespotykają się z ziemią, chyba by jej powiedzieć słowa, podsłuchane w aniołów rozmowie.«

W tem miejscu z energii, zgniotłem biszkokt i jak... jak... niepamiętam już jak kto, zresztą jak ja sam, lub jak filozoficzne *ich, ego, etc.*, nabrałem tęgiej miny. Czułem się przeszczepiony w mą rodzimą ziemię, podniosłem głowę jak kwiat ku tym jasnym słoneczkom, krople ich słówek padły na spragnione serce, i obiecałem sobie w duchu, spowiadać im życie literata,

wieszcza. Uchylić firanki skrytej pracowni tego męczennika myśli; rozedrzeć szatę marzeń, która wtenczas okala rysujące się czoło jego: dać im usłyszeć brzęk ów daleki zlatujących się różnych widziadeł ku niemu, i dać im zapatrzeć w ów ból, tego naczynia boskiego, w którem wre i kipi pomysł, zanim się w utwor zgotuje.

I oko zaszło mi łzą, jakby przygrywka do tej dramy ducha, i nachyliły się ku mnie wdzięczne te kwiaty salonu, jak lilie nad wieczór ku wodzie, gdy mają zwijać kielichy z swą wonią.

»A więc chcecie panie, spowiedzi; spowiedzi literata, spowiedzi artysty, spowiedzi wyrobnika umysłowego. Nieustąpiże wasza cierpliwość, gdy przyjdzie na to, że miasto roskoszy ujrzycie bole, miasto skarbów ukrytych, nędzę wyrobniczą, miasto sławy, nagrody, podrobiony poklask, lub zapomnianą w kącie zasługę. Bo spowiedź moja może wam wykryję pod axamitnym płaszczem rozdartą koszulę wyrobnika. W piersi ozdobionej całą świetnością wieszcza, suchotniczy kaszel dogorywającego szkieletu; w sercu, zapamiętały płacz dziecka, odsadzonego od piersi matki, a w głowie... o! ten chaos zbytkowego uszczęśliwienia z trunku, obok wilczego głodu. Rój snów złotych z obudzeniem w błocie, rozstrój chęci, której świat jest za mały, za ciasny, z możnością, która jest tak małą, tak małą, że nawet kęsa czarnego chleba przynieść nie jest wstanie. Wy znacie poetę drukowanego, poetę w szacie godowej, utkanej, ale poetę męczenika, poetę tkacza, którego trenuje praca, którego boki kole ostroga fantazii, a moje panie, może go poznać za przykro wam będzie!...

Zacisnęło się kółko czarowne, bardziej koło mnie, i ciekawość dyszała w piersi, dyszała w oczach, widoczniej, i bardziej nalegająca.

Miewacie kiedy, panie moje, sen przykry, ostry, cotoście rade, gdy się ockniecie z niego?... Miewacie czasem, owe ściśnięcie spazmowe główki waszej nadobnej? coto ponudza, roztęsknia więcej niż boli; i wreszcie ów niesmak, niesmak naprzykład jak w zajutrze po wymęczonym balu? Owoż taki sen przykry, ale w dzień biały, ale w noc niespaną, ale każdej nieoznaczonej chwili napada głowę człowieka, co mu przeznaczenie kazało zostać literatem... artystą. Jestto chwila poczęcia jego myśli, przychodzi bóg wie zkąd, napada wówczas gdy on najmniej spodziewa i życzy, napada go w uścisku kochanki, i nieda mu dokończyć uścisku; w objęciach żony, i odrywa usta od poczętego całunku; w gronie przyiaciół weselących, gwarzących, i zadymia jego oblicze naraz, że kochanka, żona, przyjaciele, w pół uścisku, w pół całunku, w pół roskoszy, przezwą go, przeklną »dziwakiem« bo niewiedzieli dla czego on się od nich odwrócił, dla czego zadumał, zesmutniał. Niewiedzieli tej myśli, która przyszła w widomej szacie ku niemu, położyła mu swój ciężki palec na ustach, zarzuciła mu groźne ramię na szyję, i zmusiła go popatrzeć w lica swoje. A często gość ten niespodziany, co go nawidza, jest odwrotną twarzą tego, i tych co w około biedaka otaczają. Wszyscy w bieli, w muszlinach i kwiatach, w tańcu wesołym, w poskocznym śmiechu, w jasnem uśmiechającem zdrowiu, on się obejrzał, coś go uderzyło po ramieniu, i widzi przed sobą, w czarnem żałobnem ubraniu niewiastę, znajomą, dziś i jakby dawno, podobną jakby do tej z którą tańczy, i do tej z którą tańczył sześć lat temu, w jednej twarzy dwa podobieństwa, ale tak jasne, że poznał i tę i tamtę. Ale lica obu znajomych martwe, oczy zapadłe, wieniec na głowie przewiędły, dłoń jej zimna, a usta, o! to tylko dwa brzeżki rozpadliny którą duch uleciał!... I on zadrżał w tańcu, zapłakał, o! dziwak! przy tańcu płakać?

Czemże ta myśl jest budząca się i stająca mu na jaw w tak przemiennej i niewywołanej porze? Wy piękne panie! powiecie: »to szał, słabość imaginacii, lub przewidzenie chorobliwe« nic złego w tem waszem mniemaniu, wszak ono, mniemaniem, prawie półświata; ale do szału trzeba przygotowań postępnych, by stopniowo przejść w odwrotny stan, stanowi nas otaczającemu; trzeba drabinki jakkolwiek nieznacznej, po którejby myśl szczebłując jak małpka, na ostatnim szczebelku koziołka wycięła. A tu się dzieje nagle, nierozmyślnie, bez przejścia.

Słabość imaginacii!... cery wyraz, chyba pełnia, chyba przepełnienie, nadzwyczajna obrazowość, drażliwość, ruchliwość, jak drzenie wody za podmuchem wiatru. To prawda, to wszystko prawda. Aleź czyż to przyczyna zbudzenia się myśli twórczej u biednego artysty? nie jestże to raczej skutek czegoś, czegoś mocnego, tajemniczego?...

Otoż ja wam powiem, moje panie! czem jest ta myśl, wy zrozumiecie: bo to sięga krainy czucia, a wy w tej krainie lepszymi sędziami od innych ludzi jesteście.

Ta myśl twórcza, to jądro pracy wieszcza i artysty, jest żywą prawdą, która przychodzi do niego widomie, cieleśnie, i rozmawia z nim, i zaprząta go, często i... zabija. O! bo i tak bywa, możeście niesłyszały nigdy o tem; może myślicie że każdy łacno zniesie ukazanie się takie zwyczajne nadzwyczajności; że każdy ma tak silną budowę organów ducha, że wywoławszy ten stopień rozbudzenia umysłu, do-

trzyma kroku, objawem niestraci rozumu, i potrafi z niemi rozmówić się, pogadać ich niezmysłowym językiem, by obnieść potem okruszyny doznanych wonczas uczuć, rzeczywistemu światu, spiewem, muzyką lub pęzlem. O nie! słyszałem o jednym młodzieńcu, w Paryżu podobno lat temu kilka, oddawał się naukom; zaczął umysłowo pracować, tak silnie, tak bezmiernie, że widocznie niknął ciałem, w twarzy tylko pięknial, jaśniał; zdało się jego przyjaciołom że to alabastrowa lampa rozpala się w jego licach; tak czytać było można bieg myśli na jego czole, jak bieg krwi na pięknej rączce, gdy ją przyłożycie naprzeciw świecy; owoż ten sierota, (ojciec i matka w grobie mu dawno byli), jednego razu leżąc w łóżku, i swym zwyczajem zatopion w xiążce, słyszy na raz uderzenie dwunastej godziny z północy na swym zegarku, i lekki chód skrzypiących butów. Ogląda się, i widzi, tuż przy węzgłowiu stojącego ojca swego, wraz z matką. Ojciec patrzył w zegarek, matka na syna; ręka nieboszczyka pokazywała godzinę, usta szemrały »jutro o tej godzinie« i w chwili, znikło wszystko.

Zgnębiony tym objawem, czy marą; nazajutrz spowiada się o tem przyjaciołom swoim, śmieją z niego, żartują: śmiech i żarty nieczynią na nim wrażenia, on wciąż swoje, dziś umrę o północy. Biorą się więc na sposób, zapraszają go do siebie: wisk, poncz, pogadanka, mają zatumanić dziwaka, a nastawione zegarki kłamią o całą godzinę. W zajęciu, w grze, w ciągłym ruchu zapomina nasz młody o wszystkiem tak dobrze, że wszyscy tryumfująco pokazują mu póżno w noc na zegarkach już po dwunastej. Ale bawią dalej gra się niekończy, ochota już przeciąga, on już wesoły, już zbył trwogi i przekonania. Naraz krzyknął, kto to? zrywa się z krzesła, ogląda się za siebie, zawołał mocno, »ojcze« i padł trupem w oczach przyjacioł. Jeden z nich wówczas nagle pociągnął ręką do kamizelki, zegarek niekłamany pokazywał »północ.«

Ale to jeszcze nic moje panie! śmierć taka z objawu, może przypaść na każdego wyrobnika umysłowego, gdy nieostrożnie jak górnik zapuści się w kopalnie umysłowego podziemia, niewziąwszy z sobą przezornej lampki Dave'*go*. Jeszcze i śmierć taka, jest bez bolów, bez cierpień, bez kolca. Widziałem żołnierza, który dostał kulą karabinową w czoło: jak stał, tak upadł, a podparty tornistrem, który miał na ramionach, właściwie usiadł na ziemi, bez znaku bolu w twarzy, bez skrzywienia, zda się że zasnął. Spi dotąd snem świętych.

Więc gdyby tylko śmierć taka; ale czekają i gorsze rzeczy wyrobnika, dziwaka. Bo, po objawie, po zaznajomieniu się z tym światodziwem, po przywyczce do ukazywania się cieleśnie tej myśli która nas wtedy opanowywa jak zmora, następuje chęć gnąca, rozkazująca wyrobić ten objaw dla nas, w objaw dla wszystkich.

Wówczas rozpoczyna się gra okropna wewnętrzna, niemożności wydania tego, co się widzi, co się czuje, co się rozmawia, w tym nadzwyczajnym jawie, a jaw ciągle stoi, uparty, z źrenicą wlepioną w ciebie, z okiem płomiennem, zieje na twoje piersi dech piorunny, gromki, i każe się malować, tak jak stoi, tak jak się zjawił, tak jak mówi wyrazem stu znaczeń, stu jawisk na raz.

Wówczasto wieszcz, wyrobnik, blednie jak ów kwiat w południe, co mu słońce zawisło całem brzemieniem skwaru. Chodzi z swym jawem, bolesny, z głową wdół rzuconą z ramion, rzekłbyś wypatruje w ziemi schowku dla swojej biednej istoty. Czepia się każdego głosu co mu się przemknie z natury, by go do swej wcielił harmonii; każdego koloru, nieba, ziemi i gwiazd pomocnych, by odmalował jaw przedduszny; podsłuchuje każdy poświst ptaszka, każdy szmer waszych ustek nadobnych, każdy jęk biedy, każdy uśmiech roskoszy, każdą piękność i każdą brzydotę, każdą walkę i każde zwycięstwo, życie i grób, byt i nic, aby ułożyć, aby zbyć z serca, aby oddać objaw ludziom i światu.

O! gdybyto za dosyć było, wsłuchiwać się w to wszystko, gdyby tajemnica oddania myśli spoczywała tylko na rozwadze, na ujęciu tego co się widzi i słyszy: ale ta chęć grająca pędzi biednego marzyciela z ostępu w ostęp dla tego, nie żeby lepiej wsłuchał się i poznał, lecz żeby lepiej uczuł.... Więc o co tylko on zawadzi, ona mu to czuć daje, by koniecznie wymęczyć u niego najtkliwsze słówko, ból zpod serca, ten swój osobny język: język czucia. Więc on boli każdym cudzym bolem, i stratą owej matki po jedynaczce córce, i lichwiarskim żalem za złotem, i raną wojownika, i płaczem niemowlęcia, i zgrzytaniem męża, i zawodzeniem w szlochy niewieściem. On nosi w swej trawionej piersi, ból przyrody, ból stworzenia, i ból społeczeństwa.

To jakby wam naraz zasłabły i ojciec i matka i mąż wasz, i dziecię, a tu jeszcze ktoś was pomuszał iść na bal, tańczyć, śmiać się i mówić o swych cierpieniach pięknieułożonemi słówkami.

Coto za ból okropny, najlepiej moje panie poznacie w następującej mojej przygodzie.

— Wychodząc od siebie, spotykam Mieczysława, »chodź ze mną« mówi on, spiesznie, bo Suchodolski gwałtem chce się widzieć z tobą.

— Gdzież on?...

»W szpitalu, źle z nim bardzo, bo i nierobią nadziei!...« Żal mi się zrobiło, mój rówiennik rosły, przyjemny blondyn, oko żywe, wesołe, lat jeszcze tak nam mało wyciekło, a już, już mu nierobią nadziei.

Idziemy, łzawo, pochmurno, zdawały mi się i powozy leniwiej toczyć się po bruku, i turkot ich głuchszy, podziemny. Na pięknem wzgórzu wznosiła się ta świątynia choroby i bolu oknami swemi w piękne ogrody niżej podesłane sięgając. W białej wiejskiej sali, łóżka proste, olejno na biało pokostowane rzędem koło siebie stały, odstęp u każdego ino taki, by doktor między nie przeszedł, lub słaby mógł się podnieść, i wyjść z łóżka; czasem stoliczek prosty przy węzgłowiu, a na nim flaszeczka z białą karteczką apteczną, rzadziej i zegarek leżał. Choć okna w wielu miejscach otwarte były, przecież jakaś zaduszność leków i potów, chorobliwe miazma wyziewów woniały w tej sali; szliśmy środkiem, zwolna, ostrożnie, by niezbudzić gdzie spiącej dolegliwości, lub stukiem nogi nieobrazić skołatanej głowy. W tem chwilowem iściu mojem, nieraz gorzej się wstrząsłem jak podczas największego huku; nie raz zabolałem gorzej, jak na ból własny. Właśnie gdyśmy z Mieczysławem nadchodzili do środka sali, naraz zakrzyknął chory leżący z prawej strony »noga aj noga« i zerwał flanelową białą kołdrę w największej wściekłości. Stanęliśmy jak niemi, patrzym »on niemiał nogi« ból amputacii kurczył nim jeszcze, strzaskany członek co mu wczoraj odjęto, bolał dziś jeszcze!...

Twarz śmierci, nie jest tak straszną jak twarz cierpienia, a tu wszystkich cierpień twarze mogłeś oglądać, ciekawy. Nareszcie w końcu sali, było łóżko, trochę zdala od innych, Suchodolski w równi z łożem, bez najmniejszego prawie wzniesienia pod głową, leżał wyciągnięty; twarz blada, oczy zamknięte, fioletowe usta, makowy włos w nieładzie, bez ruchu, myślałem »zapóźno o mój bracie« i gorzkom westchnął. On pół oka otworzył, przymrzał, i znow cicho; uważałem iż kilka razy doktor od innych łóżek przechodząc, przetrzymywał się przy jego łożu, nadsłuciwał oddechu, i potem rzucał okiem na kapucyna z krzyżem opodal stojącego, jakby mówił »niebawem ojcze«. Topolowa kibić chorego, ociągnięta flanelowem pokryciem, jeszcze dłuższą wydawała jego kibić, chudość grobowa szkieleciała widocznie. Trochą ciała, i trochą ducha trzymał się jeszcze mój przyjaciel ziemi, jeno podpiersiami grube nawinięcie sterczało; dzidą przebity na wskróś, grube te szmaty tamowały ranę jego.

— Czy spisz Józiu! z lekka zapytał go Mieczysław.

On podniosł oczy, — to ja »to my« kończył Mieczyś, niepoznajesz?...

»Ha! Wy! teraz jesteście... a wtedy... o! nie... wy prawda, wyście byli, ale inni... mniejsza z tem....

»Kto nie chciał być
Ten niechciał żyć...

Gdzie koniec tej piosenki... jaki koniec... Dominiku niewiesz?... jam ich tyle napisał, wy je spiewacie... pamiętasz?... ale ta piosenka, o! ta najpiękniejsza, tej skończyć nie mogę... bo piersi... i tam pod plecyma, oj!... przeklęta rana... ale nic... to nie tak boli... bo to dla niej... ale co boli... i gorzej mnie boli... to ta piosnka, bo to... także dla niej... a końca... nie ma czasu... już nie czas... o czemuż... nie trochę później... Doktora!... przyjaciele... proście go... trochę życia... tylko tyle... ile wyśpiewać... ile usłyszeć ten spiew... przez drugich tyle...

Tu charknął gwałtownie, rzucił sobą na łożu, przypadł doktor, kapucyn z krzyżem spłynął jak anioł ku niemu, my klękli, i patrząc w oczy przyjaciela, chcieliśmy odprowadzić tę czystą duszę młodziana, w dziedzinę wiecznej pamięci.

— Boli... jęczał ranny....

— Boli, bo pan mówisz, a jam ci mówić zabronił, przerwał doktor z cicha.

»Boli... szemrał ranny....«

» — Lecz tam już boleć nie będziesz mój synu« wtórzył trzęsącym głosem kapłan pociechy, »tam cierpienia twoje, ozdobą, tam czucia twoje balsamem ci będą.«

....Lecz boli... łkał ranny... niedokończyć co się... zaczęło... nie dośpiewać....

»Kto nie chciał być
......

Nie... nie tak... tu w głowie... mam mocniej... tak... ot i tak... Słuchajcie!... Ty pamiętaj... spisz ty Dominiku?... zaspiewaj, niech spiewają... to po mnie... spuścizna....

Tu chciał się podnieść, oko odżyło blaskiem dnia, blaskiem gwiazdy, więcej słońca, więcej natchnienia. I..... zmroczyła go boleść gorzej nocy... gorzej otchłani... gorzej śmierci, a oko zostało rozwarte, tłukło się po całym obwodzie powieki, jakby chciało domówić, co usta już nie mogły, jakby chciało nakazać mi, zmusić mą pamięć.

O! pamiętam te oko, konającego wieszcza co nie domówił, co niedośpiewał swej pieśni ostatniej.

* * *

Ale są jeszcze cięższe brzemiona, którym wyrobnik pracy umysłowej podlega. W dwoch pierwszych obrazach, miałyście moje panie, wizerunek z odblaskiem; rodzaj tęczy błyskotnej zaświecił i głowie, co w rozgorzałej fantazii jęła się tlić nauką, wysadziła się w powietrze; i głowie wieszcza, co w porannem życiu schwycony chwilą szału, chwilą radości, odrodzenia się chwilą, jak łabędź, począł płynąć, nucić, i oniemiał. Coś jest w nas, co powiada, że warto i przecierpieć i umrzeć, by taki zabłysk po sobie roztoczyć. Lecz oni! to jeszcze nie cała twarz cierpienia, tej mrówczej rzeczypospolitej pracowników. To nadobne szkarłatne motyle, w łonie róży konali, zapach sztuki wiał wkoło nich, mamka pracownia, upuściła ich z rąk swoich, i postradali życie niemowlęciem.

Lecz kiedy w przerobie lat kilkunastu, kiedy w przemianie z kwiatu na owoc, kiedy w dorastaniu z dziecka pracy, na męża pracy zajdzie chwila śmierci, i zniszczy całą skrzętność dwudziestoletnich trudów; zamknie te usta, które dotąd milczały dla świata, bo z objawem myśli tylko w wnętrzu swem gadały, aby wypowiedzieć na potem ludziom, rzecz niesłychaną, prawdę tak piękną jak słońce, i pożywną jak słońce; i ten wyrobnik kona, nieznany, niewygłoszony, bez miarki zapracowanej, bez błogiego spojrzenia ludzkości, po którem wstanie nieśmiertelność, a wszystko ku temu ułożył, wszystko zorał, i ziarko siejby już trzymał w dłoni!... O! to tak wielka żałość bije od serc bliźnich, od serc co znały jego wagę, jak łuna od pożaru, jak jęk od piersi matki, tracącej jedynaka dziecię.

Wy, w waszem kole domowem, pytacie? czego ta łuna? czego jej płacz? mówicie, to śmierć jak wiele innych, to strata jakich codzień mnóstwo. O! nie! w kopalni wyrobników umysłowych, gdy taki jeden filar w gruzy runie, przelękli towarzysze, oglądają się blado za siebie: naraz krzyk ich, bo ta podpora, była jedynem ich wyjściem na świat boży. On legł, a oni, współpracownicy muszą konać zwolna, w głodzie, w ciemności. On był im latarnią w tych podziemiach: latarnia strzaskana, wyjście zasute. I toż śmierć jak inne? i toż strata powszednia?

I dziwnoże wam będzie? gdy na pogrzebie takiego wyrobnika, wszystko sukno od trumny zedrą w kawałki pamiątek, kiedy wszystkie barki podsuną się dźwigać do grobu te spracowane ostatki?... gdy jego rytą twarzą każdy młodzian ozdobi swoją nad łóżkiem ściankę? Liść i kwiat cierpi w waszym salonie, kiedy go nie zwilżycie rosą. On był tą rosą dla nich, na niego jak na rosę pracowało słońce i mgła, ziemia i niebo. On miał im perłę nauki wyłonić z swych ślęczeń, i ocean jego myśli, przez lat tyle i chwil tyle ciągle kolebał muszlą w której się perła niańczyła. Z jego badań, rozmyślań, rozpatrywań, zalatywała ich woń nieznanego kwiatu, co kwitł w nim; gęsto jak o nim pomówił, to jakoś wszyscy inaczej patrzyli w świat, byli jak w jasnowidzeniu, czuli że go objaw udarzył całem swojem wylaniem, i on trzyma w dzielnej dłoni zasłonę wielkiej Izydy, i tylko co ma ją podnieść.

.... Dwa lata temu byłem u niego, przyjął mię serdecznie, i serdecznie uściskał; ja wsi mieszkaniec, on miasta, mieliśmy sobie wiele, wiele do udzielenia; jam podsłuchał w przyrodzie nowych głosów tyle, w wieśniaczem obejściu przebył tyle chwil rzewnych, z domowej krainy uczuć, tyle miałem skarg do złożenia w łono przyjacielskie, a on! zakopany xiążkowo, wcielony w ruch prac kłujących się wszędzie, sternik nie jednemu, a każdej wiedzy przyjaciel, a każdemu postępowi brat, miał mi uchylić kraj szaty przysłaniającej siedzibę odkopanych, czyszczonych ogniwek prawdy, co codziennym narostem przymnażają się, z taką społeczną korzyścią. I nietylkoto wieczność była mu przystępną; w greckich xięgach zapylone idee, formy, które niewiadomością naszą zdały nam się zużyte, brudne, niezdatne, on wynosił na jaw, kładł tak umniczo pod światło, że błyszczały całym wabem świeżości, kusiły obietnicą plonów niesłychanych dotąd; kokietowały naiwnością prostoty z wyrobem sztukmistrza. Bo on jakąś czarującą mocą odejmował szkolny zapach, przesłuchanym wieszczom Ilionu, i skarbił dla nich serca, tym samym wdziękiem jakim umiał dla siebie nasze serca zjednywać. I daliśmy mu miano »Józefa Greka« W uściech naszych, w sercach naszych było go pełno, bo każdemu pchnął myśl lub radę, podał wątek lub cewkę, poklask lub słowo rozwagi, a zawsze cicho, potulnie; zawsze blada jego twarz z orlim nosem, zasuta w czarne gęste sploty kędziorów długich, opadała mu w pierś niepokaźnie, jakby doradzał, jakby prosił, tam gdzie mógł rozkazywać rozumem.

Wieczorem to było; Leszek i August jeszcze nie przyszli na zwyczajną literacką pogadankę, a już gwiazdy poczęły zchodzić się na niebo opałowe, od pyłu miasta i ostatnich brzasków słońca rzucanych zza gór piaskowych. Przez otwarte okna w ulicę wychyliliśmy głowy, naprzeciw nam bernardyńska wieża upominała zegarem »już czas« obu nas oczy padły na nią, i jedna myśl zda się przeleciała nam obu,

bo jego czarne, pałające wejrzenie utkwiło w mojem, głos mu miękł, szeleścił, szemrał jak zdrój pod liściem.

»Ej Dominiku! coto będzie, gdy dla mnie ten zegar stanie zawcześnie? całą młodość zaprzągłem do woza, i cegła po cegle staczałem na fundament budowy, jeśli kiedy gdzie głos jaki, pieśń jaka, wydarły mi się z pióra, ha! byłoto tylko odetchnięciem w mej pracy, poświstem ducha, któremum musiał jakąś grę pozwolić, by potem raźniej pracował. Patrz! foliały Greków zalegają mi łoże; ino się przebudzę, przerywają mi myśl moją w swe odwieczne czasy, dają się zapoznawać tak z sobą, że już wytrzymać nie mogę, aby wy! przyjaciele moi, byliście z nimi jak obcy. O mają oni prawo do tego, nasi ojcowie bratali się z nimi, szczerzej i głębiej, niźli tu wam się zdaje; język ich był im swojski, czucia praojców waszych lepiej odgadniecie, jaśniej odbiją, gdy tych mentorów im przyczepicie do łona. Wszystkoto, wszystko widzę tak jasno! rozbiegnie się wasza historia w koleje inne, nie tak gmatwane; poznacie czyny, co teraz dla was są ciemnemi, bo do ich wyświecenia, w grobach ojców waszych jest lampa, lecz olej w grobach mych Greków.«

Czarne oczy Józefa, zaiskrzyły rubinem, tysiąc świateł, tysiąc prawd ciekawych tłoczyły się jedna na drugie, i niedziwny łysk tego oka, którem tyle kosztowności wyglądało! to jak masa brylantów zbitych wjeden pierścień wspomnienia. I niedziwny zapał mówiącego, który się tylu wiekom przypatrzył z bliska, i jak od chaty do chaty chodził od grobowca do grobowca rozmawiać z bohatyrami Hellady, ich zapomnianym językiem.

O! coście mu tam rzekli za słowa, wy Elizeów mieszkańce, wy Termopilów żołnierze, i ty! pijący z zachodzącem słońcem, ostatni puhar goryczy wielki Sokratesie? to wasza i jego tajemnica. Tam, gdzieś, za górami tych nieb, za gwiazdami tych gwiazd, za słońcami tych słońc, spotykacie się z nim, z nim z którym mówiłem jakby wczoraj, jakby dziś rano. Dawny wasz znajomy nie zdziwił was gdy przyszedł, gdyście go ujrzeli. Ale my, my cośmy naczepiali *vota*, przy jego myśleń ołtarzu, my cośmy stroili wieńce, by owoc pracy okwiecić, my cośmy obiecowali sobie przejść lat tyle jeszcze, z nim ramię w ramię. My teraz, płaczki pogrzebowe, świeczniki ze zwalonych ołtarzy, my tak samotni; o! my zapłakać musieli, bo strata nasza nie tylko w dziedzinie serca, ale i wdziedzinie ducha.

— On zgadł, moje panie! Józef Borkowski zgadł, gdy mówił: »zegar ten stanie mi wcześnie! Stanął! w czasie żniwa, ręka żniwiarza odpadła od sierpa, a przy nim matka z drobnem dziecięciem na łonie, co czekała na kłosy, tak głodna. Czeladka sług i przyjacioł jego myśli, rozbolała, rozpierzchnięta, oblała się łzami i zmilkła. Dwudziestoletnich trudów anioł cierpliwości, uderzył w białe skrzydła, i uleciał. Tysiąc niespanych nocy, które nauka deptała, podniosło głowę szyderczo, i zaśmiały z wielkich zachodów rozumu. Nawet głos jeden, ludzki, niebaczny, zębami trumnę ukąsił!...

I otoż nagroda! otoż pieniądz zarobnika artysty, nie jestże to gorsza nędza, o panie moje! niż ta, co wyciąga dłonie? nie jestże to zawód gorszy, jak prosta utrata mienia? Włosiennica zakonnika kaleczy ciało, ale dla nieba nagrody; włosiennica literata drze mu w szmaty chorowity byt jego, a w płacy da mu woń, na grobie, woń lilii, co chwilę pachnie. To jakby kto wam kazał dziesięć lat się stroić, byście na chwilę zachwycili swym ubiorem, a przed tą chwilą przyszedł i zabił was sromotnie.

Ha! to okropnie! krzyknęła z piwnem okiem dziewica, na raz tyle cierpień!

»I na jednego« odparłem zmięty boleścią. Nie powiastki, nie marzenia głowy; ja wam opowiadam czyste, proste wydarzenia serca mego. Ja płaczę nad niemi, gdy piszę, bo je po prostu wypisuję tylko z tej skarbniczki pod piersią, gdzie tyle jeszcze zeschniętych wianków mych przyjacioł, co mieli przy boku swoim, kiedy szli wesoło, spiewając, kłaść się w trumnę... nieczuli!... *D. Magnuszewski.*

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.